

„Klik - Klak”

CZEGO widz oczekuje od współczesnego autora? Widz oczekuje od współczesnego autora dobrej roboty dramatopisarskiej. Co to jest ta dobra robota? Jak ona się realizuje? — tu już zdania są podzielone. Spory przenoszą się bowiem na teren dyskusji o funkcji i charakterze poszczególnych gatunków scenicznych. Jednak, że i w tej materii wielkie pomieszenie pojęć nastąpiło, jesteśmy spragnieni powrotu do klasycznych gatunków scenicznych. Bo jak komedia to komedia, nawet już niech sobie będzie taka komedia z podtekstem, byleby widz wiedział kiedy się śmiać nie kompromitując ani siebie ani autora.

I na tym chyba polega tajemnica powodzenia sztuk Jarosława Abramowa: w miarę czytelnych, pomysłowych, dowcipnych, a poza tym jak już ktoś koniecznie chce, pozwalających na refleksje i dopasowanie sytuacji do różnych życiowych filozofijek.

„Derby w pałacu” przegalopowały przez chyba połowę scen polskich i to samo wróżę nowej sztuce Abramowa „Klik-Klak”, którą oglądaliśmy na scenie Kameralnej Teatru Polskiego.

Temat jest prosty a pomysłowy. Starsza pani, z pretensjami jeszcze, organizuje gwiazdzisty zlot swoich byłych mężów: podpułkownika eks-leguna, już po siedemdziesiątce; przedwojennego dyplomaty — pana też w wieku popoborowym i trochę młodszego od nich — powojennego już wiceministra, obecnie na przedwczesnej emeryturze. Dowcip, który rodzi zabawne komplikacje polega na tym, że panowie czują do siebie awersje nie tylko ze względu na minione rywalizacje, o względy pięknej Kornelii, którą sobie kolejno odbijali, ale z uwagi na różnice charakterów i poglądów politycznych. Najbardziej nie lubią się pułkownik i dyplomata, socjalistycznego eksministra gotowi są obaj tolerować. Solidarność męska bierze jednak górę, tym bardziej że pojawia się wielbiciel pani Li — piękny Eligiusz. O dalszych komplikacjach już zamilknę, jako że sztuka czasem ociera się o sensację. W każdym razie solidarność męska święci triumfy i atmosfera wieczoru kawalerskiego (czy raczej wieczoru rozwodników) wieńczy dzieło. A dzieło wyróżnia się wartką, choć niezbyt urozmaiconą akcją, dobrym dialogiem (najmocniejsza strona tekstu) oraz masą bardziej lub mniej pomysłowych, smakowitych lub całkiem niesmacznych dowcipów aż do absurdalnych włącznie.

Przedstawienie reżyserowane przez Wandę Laskowską omijało rafy pomysłów mniej wybrednych, sytuacji ryzykownych traktując je raczej z przymrużeniem oka. Nawet rubaszny pułkownik Grzegorz — Mieczysław Stoor prezentował także i te lepsze maniery dawnej kadry oficerskiej, w której też układały się różne gradacje i tradycje żołnierskiego fasonu i elegancji. Mniej opanowany w afektach a raczej nienawiściami okazał się mimo swojej dyplomatycznej szkoły poseł pełnomocny, którego zagral Wienczysław Gliński przypominając starą prawdę, że na dobrego dyplomate składa się tyleż inteligencji, zręczności co brutalności. Najpoczciwszy i najwrażliwszy okazał się w tym towarzystwie Sylwester, eks-dygnitarz równie mrukliwy co sentymentalny w interpretacji Wiktora Nanowskiego. Wojciech Stockinger przedstawił nam współczesnego lalusia i gigołaka wykorzystując dobrze zabawny kostium i tytułowy rekwizyt: tzw. klik-klak. Oczywiście królowała (do czasu) w roli Kornelii, kobiety z pomysłami i temperamentem — Renata Kossobudzka.

Przedstawienie jest więc zabawne, a jednak czuliśmy się jak goście pani Kornelii — brakowało befsztyka.

(ES)

Teatr Polski, Scena Kameralna. Jarosław Abramow „Klik-Klak”. Reżyserka Wanda Laskowska, scenografia Małgorzata Treutler.